

Kto może spędzić apokalipsę w domu?

5 kwietnia 2020

Gdy przed trzema tygodniami zamknięto szkoły i przedszkola oraz wprowadzono pierwsze ograniczenia dotyczące poruszania się poza domem, część osób odetchnęła z ulgą. Wreszcie mogli uzyskać możliwość pracy w dawno wymarzonym trybie home office, na który wcześniej szef nie chciał się zgodzić. Teraz jak znalazł pojawiła się wymówka – epidemia. Media społecznościowe zalewają zabawne zdjęcia z pracy zdalnej z domu, zakłócanej przez koty, psy i dzieci. Trwa dyskusja o tym, kto miał ładniejsze tło za plecami, gdy występował jako zdalny komentator przez Skype'a. Na stronach internetowych lewicowych portali pojawiają się wyliczanki: „Dziesięć rzeczy, które można robić, gdy nie da się wyjść z domu”, „Dwadzieścia seriali do nadrobienia”. Facebooka zalewają memy, jak to ktoś nawet nie zauważył apokalipsy, bo i tak jego tryb pracy pozwalał mu siedzieć na co dzień w mieszkaniu, nie stykać się z ludźmi i oglądać w kółko seriale. Wraz z rozwojem epidemii i postępem izolacji pojawiły się rady psychologów – co robić, jak myśleć, żeby nie zwariować w zamknięciu.

Tymczasem możliwość pozostania w czterech ścianach i wykonywania zdalnie swoich zawodowych obowiązków jest determinowana – jak wszystko – przez pozycję klasową. Wielkie zakłady pracy i centra logistyczne nadal pracują, przynajmniej w Polsce. Codziennie przewijają się przez nie setki i tysiące ludzi, narażając własne zdrowie i życie, mimo że ich praca jest dla walki z epidemią niekonieczna. Dlaczego to zatem robią? Po pierwsze – nie mają wyjścia; rezygnacja z pracy w sytuacji zagrożenia nadciągającym spowolnieniem gospodarczym to samobójstwo, wolą zatem chodzić do roboty i ze strachem „przeczekać”. Po drugie – muszą pracować, by podtrzymać funkcjonowanie kapitalizmu w jedynej słusznej wersji. Tej, która mołochom daje zyski, straty uspołecznia, a

uprzywilejowanym dostarcza pod drzwi ciepłutkie jedzenie i książki oraz gry planszowe dla zabicia nudy. Ktoś musi pozostać na zewnątrz, pomimo zapewnień, że „to bardzo niebezpieczne”, by ktoś inny mógł przeczekać apokalipsę bezpiecznie w domu. Tak, jakby niektórym złośliwy wirus miał zupełnie nie szkodzić.

Ostatnio internet obiegiły zabawne w swoim założeniu obrazki, przedstawiające realizację hasła „pracuj z domu” w kontekście tego, jak wyglądałoby to w wielu profesjach. Mamy zatem na przykład budowlańca, który siedzi w pokoju obok betoniarki. To prawda, tylko niewielka część pracowników może pozwolić sobie na zabranie swoich zadań do domu. Jak mają z mieszkania pracować leśnik czy sprzedawczyni? Nie wszystko da się też wykonać online, nawet w przypadku niektórych prac biurowych, na co wskazuje przypadek ZUS-u, dysponującego obecnie tylko jedną trzecią obsady, ponieważ zatrudnione tam pracownice nie mogą zainstalować oprogramowania na swoich komputerach domowych, gdyż jest to łamanie tajemnicy państwowej. Tak, nie każdy ma luksus pozostania w domu – albo może tam pozostać, jeśli zrezygnuje z pracy. Jednocześnie wiadomo już, że dziurawa tarcza antykryzysowa nie pomoże prawie wcale tym, którzy zdecydowaliby się na taki krok.

Podział jest zatem prosty – uprzywilejowani zostają w domach i stamtąd pracują zdalnie, nie tracąc przy tym zatrudnienia ani dochodów. Nieuprzywilejowani zostają „na zewnątrz”, by dostarczać im pizzę, pakować ich zamówienia na książki, dezynfekować przystanki komunikacji miejskiej czy prowadzić autobusy. Poza domem przebywają czasami po kilkanaście godzin na dobę kasjerki z dyskontów i hipermarketów – ich praca stała się nagle wręcz zawodem zaufania publicznego, w dodatku jej godziny wydłużono i dołożono im nowe obowiązki (m.in. dezynfekcję koszyków zakupowych). W sytuacji epidemii kapitalizm jeszcze wyraźniej obnaża swoją brutalną twarz z ciągle ostrymi zębami. Ci „na zewnątrz” muszą tam pozostać w imię zarobienia na własną miskę ryżu, ale i w imię

podtrzymania w tych, którzy zamknęli się w domach, iluzji, że wszystko wokół toczy się z grubsza normalnie.

Pod hasłem „dbania o bezpieczeństwo” (czyje?) osoby zamknięte w domach zamawiają online coraz więcej przedmiotów, a sprzedaż przez internet do tego stopnia zwiększyła zasięgi, że Amazon rekrutuje nowych pracowników do swoich centrów logistycznych. To wszystko pokłosie bezrefleksyjnego podejścia do zachęt, by za wszelką cenę pozostać w mieszkaniach i jak najrzadziej je opuszczać, a wszystko, co konieczne, zamawiać w sieci. Cóż, jak się okazało, ludzie mający sporo czasu i (nadal jeszcze) pieniędzy będą zamawiali także rzeczy niekonieczne, wręcz zbytkowne, w ogóle nie poświęcając namysłu sytuacji pakowaczki czy kuriera, którzy w takich warunkach będą im to na wyścigi dostarczać, zaopatrzeni przez pracodawcę jedynie w symboliczne maski i nieliczne pary rękawiczek. Dyskusje internetowe tych zabunkrowanych szczęśliwie w domach ogniskują się wokół tego, jak najlepiej zadbać o własne bezpieczeństwo. Jest w tym także trochę przesady i mody – pojawiły się już maseczki w postaci z komiksów, szyte przez „małe lokalne firmy”. Nie jest jasne, gdzie się w takiej maseczce pokazać, poza zdjęciem na „Instagramie”. Maseczka ma zapewnić bezpieczeństwo noszącemu, ale, zanim się to wydarzy, przez morowe powietrze musi przenieść ją kurier.

Ogłaszane są pospolite ruszenia – kupujemy jak najwięcej od lokalnych piekarni i kawiarni, zamawiamy jedzenie do domu, bo nakaz zamknięcia lokali gastronomicznych uderzył restauratorów po kieszeni. Wspierajmy małe pracownie artystyczne, kupujemy książki, figurki, wazoniki. Szlachetne pobudki szybko zmieniają się w festiwal zamawiania – skoro już siedzimy w domu, to może nowy telefon, bo jest w końcu czas przejrzeć oferty? Może rower stacjonarny, żeby nie zgnuśnić? Może kolejna paka książek i gra planszowa na dłużące się wieczory? Kapitalizm uczynił z nas konsumentów doskonałych. Tańczymy na Titaniku, póki grają, i rozrzucamy wokół pieniądze, w dodatku przekonani o swoich szlachetnych motywacjach. Przecież tylko

pomagamy pizzerii z dzielnicy, prawda?

Tu nie ma złotego środka – konsumenci mają ochotę na pizzę, książkę, nowy telefon, albo po prostu chcą zrobić zakupy spożywcze online (ale w sklepach jest przecież jeszcze wiele towarów i trup się tam wcale nie ścieli gęsto od wejścia), biznesy chcą przetrwać, więc robią wiele, by dostarczyć, donieść i dowieźć, kosztem wzmożonej pracy i bezpieczeństwa pracowników. Wydaje się, że jest trochę tak, jakby niektórym wirus miał mniej szkodzić, jakby zawód kuriera czy listonosza, na których każdy miliony razy pomstuje w zwyczajnych czasach, miał być zawodem pierwszej linii, wręcz koniecznym do przetrwania.

Gdy nadejdzie prawdziwa mortal kombat (to jeszcze nie teraz), przetrwają najsilniejsi. Kłopot w tym, że nie będą musieli walczyć. „Siła” oznacza zawsze pieniądze i pozycję, które pozwalają jak najdłużej eliminować siebie z listy narażonych.

Hasło „stay the fuck home” to w tym świetle ponury żart. Nie jesteśmy solidarni z innymi pracownikami, póki otwarte są centra Amazona, a dyskonty wydłużają swoje godziny pracy. Idziemy ręką w rękę z kapitałem.

Autorstwo: Magdalena Okraska

Źródło: [NowyObywatel.pl](https://nowyobywatel.pl)

0 autorce

Autorka pracuje między innymi jako pracownica sklepu internetowego i przebywa kilka razy w tygodniu „na zewnątrz”, by dostarczyć paczki na pocztę.